

Podział piemuszy

Pani May opowiedziała o tym najpierw mnie. Nie, nie mnie. Jakże mogłaby opowiedzieć mnie — nieporządnej, dzikiej, samowolnej dziewczynie o chmurnych oczach, która podobno zgrzytała w nocy zębami? Nie, nie mnie, tylko Kasi. Tak, ta dziewczynka nazywała się Kasia. A zresztą imię nie ma znaczenia. Po prostu w tym opowiadaniu będzie mowa o Kasi.

W domu rodziców Kasi w Londynie pani May zajmowała dwa pokoje. Była, zdaje się, jakąś ich krewną. Sypialnia jej znajdowała się na pierwszym piętrze, a mieszkała właściwie w pokoju nazywanym w domu — „śniadaniowym”.

Najładniej wygląda pokój śniadaniowy rano, kiedy słońce pada na grzanki i słoiki z marmoladą. Po południu pokój wypełnia srebrzyste światło i wtedy, przed zmierzchem, robi się jakoś dziwnie smutno. Ale Kasia, gdy była mała, lubiła ten smutek. O tej porze, koło piątej po południu, wchodziła cichutko do pokoju pani May, a pani May uczyła ją szydełkowania.

Pani May była niemłoda, zreumatyzowana i właściwie nie tyle surowa, ile pewna słuszności swego postępowania.

W obecności pani May Kasia nie była nigdy ani nieporządna, ani „dzika”, ani samowolna. Pani May uczyła ją także wielu innych rzeczy, nie tylko szydełkowania, na przykład: jak zwijać wełnę w jajowaty kłębek, jak dziergać dziurki i ładnie cerować pończochy, jak porządkować szuflady i jak zakrywać to, co w nich się mieści, szeleszczącą materią dla ochrony przed kurzem.

— Dlaczego jesteś taka cichutka, moje dziecko? — zapytała pani May któregoś dnia, gdy Kasia siedziała beczynnie, nieco przygarbiona, na małym wyściełanym stołeczku. — Co ci się stało? Zgubiłaś języczek?

— Nie — odrzekła Kasia, bawiąc się guzikiem na swym pantofelku. — Zgubiłam szydełko... (Obie robiły szydełkowaną koldrę; do wykończenia pozostało jeszcze trzydzieści

kwadratów). Wiem, gdzie je położyłam — dodała szybko — na najniższej półce z książkami, zaraz za moim łóżkiem.

— Na najniższej półce? — powtórzyła pani May, a jej szydełko migotało raz po raz w blasku ognia palącego się na kominku. — Blisko podłogi?

— Tak — odparła Kasia. — Szukałam także i na podłodze. Pod dywanem. Wszędzie. Tylko wełna leżała na tym samym miejscu, tam gdzie ją zostawiłam.

— Och, moja droga! — zawołała pani May. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że oni są także i w tym domu.

— Kto? — spytała Kasia.

— Pożyczalscy — rzekła pani May i wydawało się w półmroku, że się uśmiecha.

Kasia spojrzała na nią, trochę wystraszona.

— Naprawdę istnieje coś takiego? — zapytała po chwili.

— Co takiego?

Kasia zamrugała parę razy powiekami.

— Takie ludki... takie dziwne domowe ludki, które pożyczają sobie różne rzeczy.

Pani May odłożyła swoją robótkę.

— Jak to rozumiesz? — spytała.

— Nie wiem sama — odparła Kasia, patrząc gdzieś w bok i pociągając mocniej guzik od pantofelka. — Nie, to

niemożliwe. A jednak — podniosła głowę — jednak czasami wydaje się, że oni muszą tu gdzieś być.

— Dlaczego myślisz, że muszą tu gdzieś być? — spytała pani May.

— Dlatego, że wciąż giną jakieś rzeczy. Agrafki na przykład. Fabryki wciąż wyrabiają agrafki, ludzie wciąż kupują, a agrafki nigdy nie można znaleźć, kiedy jest potrzebna. Gdzie one się podziewają? Gdzie są teraz, w tej chwili? Mama kupuje stale, już chyba uzbierałoby się kilka setek — muszą przecież gdzieś leżeć, nie mogą być porozrzucane po całym domu!

— Nie, nie mogą być porozrzucane po całym domu — powtórzyła pani May.

— I różne inne rzeczy, które ciągle się kupuje. Wciąż, wciąż, wciąż. Na przykład ołówki i pudełka z zapalkami, i lak, i zapinki do włosów, i pinezki, i naparstki...

— I szpilki do kapeluszy — wtrąciła pani May — i bibuła do atramentu.

— Bibuła też — zgodziła się Kasia. — Ale szpilki do kapeluszy...

— A właśnie, że się mylisz — rzekła pani May i znów sięgnęła po swoją robótkę. — Dla szpilek do kapeluszy również można znaleźć wytłumaczenie.

Kasia spojrzała na panią May zdziwiona.

— Jakie wytłumaczenie? — spytała.

— Szpilka do kapelusza może służyć jako broń. Ale — pani May roześmiała się nagle — ale to wszystko brzmi tak bezsensownie i... — zawahała się chwilę — to było już tak dawno.

— Niech pani powie — poprosiła Kasia — skąd pani wie o tych szpilkach do kapeluszy. Czy pani kiedyś widziała sama?

Pani May rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

— Tak, naturalnie... — zaczęła, ale Kasia przerwała jej niecierpliwie.

— Nie chodzi mi o szpilki do kapeluszy, przecież wiem, że pani je widziała... ale czy któregoś z tych... jak to pani przedtem powiedziała... Pożyczalskich?

Pani May westchnęła.

— Nie — odparła szybko — nigdy nie widziałam.

— Ale widział ktoś inny — zawołała Kasia — i pani o tym wie! Tak, pani wie coś o tym!

— Uspokój się! — uciszyła ją pani May. — Nie trzeba mówić tak głośno!

Uśmiechnęła się, widząc zamyśloną twarzyczkę Kasi, zmrużyła oczy, jak gdyby patrzyła gdzieś w dal, i zaczęła z wolna:

— Miałam brata...

Kasia przyklekła na stołeczku.

— I on ich widział?

— Nie wiem — pani May potrząsnęła głową. — Tego właśnie nie wiem.

Wygladziła robótkę leżącą na kolanach.

— Z mego brata był taki kpiarz... Opowiadał nam dużo różnych historii, a wszystkie jednakowo nieprawdopodobne. Brat nie żyje — dodała ciszej — zginął już dawno. Był pułkownikiem, walczył na północno-zachodnim pograniczu. Poległ, jak to się mówi, śmiercią bohatera.

— Jedyne brat? — spytała Kasia.

— Tak, to był nasz jedyny, młodszy brat... Przypuszczam, że właśnie dlatego... — Pani May zamyśliła się na chwilę i znów uśmiechnęła do siebie — tak, chyba właśnie dlatego miał takie różne dziwne pomysły i lubił opowiadać niestworzone historie. Zazdrościł nam pewnie, że jesteśmy od niego starsze i że umiemy czytać lepiej niż on. A może jeszcze i dlatego — pani May patrzyła przed siebie zamyślona — że byliśmy wychowani w Indiach, w kraju tajemnic, legend i czarów. Było w nim coś... coś, co kazało nam wierzyć, że on widzi takie rzeczy, jakich nikt inny nie widzi. Czasem domyślałyśmy się, że on sobie z nas żartuje, ale czasem, no, nie byliśmy tego takie pewne...

Pani May schyliła się i z właściwym sobie zamiłowaniem do porządku zmiotła kupkę popiołu pod ruszt, po czym, trzymając wciąż jeszcze szczotkę w ręku, zapatrzyła się w ogień.

— Jako chłopiec był dość wątłego zdrowia: za pierwszym razem, gdy wróciliśmy z Indii, zapadł na zapalenie stawów i opuścił całe półrocze w szkole. Trzeba było wysłać go na wieś, żeby mógł szybciej wrócić do zdrowia. Pojechał więc do naszej ciotki. Później i ja tam przyjechałam. Był to bardzo dziwny, stary dom...

Pani May zawiesiła szczotkę na miedzianym haczyku, otarła ręce chusteczką i powróciła do swojej robótki.

— Zapal lampę — powiedziała.

— Jeszcze nie teraz — poprosiła Kasia. — Proszę, niech pani opowiada dalej.

— Opowiedziałam ci już wszystko.

— O, nie, nie wszystko! Stary dom... Czy nie tam zobaczył... zobaczył... tych?...

Pani May uśmiechnęła się.

— Chcesz wiedzieć, gdzie on widział... te domowe ludki? Właśnie tam, tak nam mówił... i chciał, żebyśmy mu wierzyły. Zdaje się, że sam nie widział ich nigdy, ale wiedział o nich wszystko. Brał udział w ich życiu, tak jakby istniały